

Pan Dwadrzewko

Pewnej nocy, gdzieś między szóstym a siódmym rokiem życia, poczułem, jak Pan Bóg, niezbyt delikatnie, wpycha mi do gardła długą łyżkę do butów i każe mówić: „Aaaaaa!”.

— Aaaaaa! — darłem się przerażony.

Łyżka niepostrzeżenie wsunęła się do żołądka i „z pewnością już tam zostanie — myślałem — a ja będę musiał żyć dalej z tym czymś metalowym i zimnym w środku! I może nawet, ku radości mojej matki, przestanę się w końcu garbić!”.

Nie miałem wątpliwości, że łyżka do butów w przełyku w żadnym razie nie powoduje śmierci głodowej. Raczej na odwrót, tylko ułatwia dorosłym karmienie dzieci: teraz jedzenie można było kroić w kostkę i w formie małych paczuszek przesyłać, jak po zjeżdżalni, wprost do żołądka.

Każdej nocy, gdzieś między szóstym i siódmym rokiem życia, jak wąły heros walczyłem z przeznaczeniem, które usiłowało wśliznąć się do mojego wnętrza pod postacią metalowej rynienki, takiej samej, jaka mojemu dziadkowi służyła do wkładania odświętnych oficerek!

To wszystko bardzo mnie zbliżyło do pana Dwadrzewki.

Był ode mnie starszy o jakieś pięćdziesiąt lat, lecz z melancholijnym zrozumieniem odniósł się do moich codziennych zmagania. Od niego dowiedziałem się, że ten ciężki przedmiot w żołądku to nic innego, tylko strach, że oto wskutek tragicznych okoliczności nie umrzemy razem, my wszyscy, którzy tak bardzo się kochamy, lecz któreś z nas, nieszczęśliwie ocalone, zostanie samo na świecie i będzie odtąd musiało żyć z tą swoją samotnością jak z kawałkiem metalu w przełyku.

Pan Dwadrzewko wyznał mi jeszcze w sekrecie, że prawie od czterdziestu lat nosi w sobie tę dziwną rzecz, choć jemu osobiście zawsze się zdawało, że jest to gładka karabinowa lufa.

Próbowałem pozbyć się jakoś metalowego intruza, który tkwił w moim wnętrzu: na przemian wymiotowałem i uderzałem się w brzuch, rozważałem nawet połknięcie haczyka na sznurku, dzięki czemu uwierający mnie strach pod postacią łyżki zostałby łagodnie odholowany i umieszczony tam, gdzie jego miejsce — w szafce z butami. Na koniec postanowiłem radykalnie rozwiązać cały problem.

— Umrzemy RAZEM! — zaproponowałem podczas obiadu. — Wszyscy! Na przykład w środę.

— Dlaczego w środę? — zapytała Babcia.

— Bo środa to taki dobry dzień! Akurat po środku! Słyszycie? Razem! Umrzemy razem, w środę!

— Ja nie mogę w środę. Jestem umówiona. Chyba że w czwartek... — powiedziała moja siostra Teresa.

— Ale w czwartek jest ten serial! Może po serialu? Ale wtedy nie dowiem się, co będzie w następnym odcinku — zmartwiła się Babcia.

— Ależ uspokój się, moja droga! Tam — Dziadek wskazał sufit — będziesz obcować ze wszystkimi przeszłymi, obecnymi i przyszłymi serialami, i to w sposób znacznie doskonalszy niż tu na ziemi!

— Na litość Boską, o czym wy w ogóle rozmawiacie?!

— krzyknęła Mama, a Ojciec spojrzał na mnie surowo.

— Czy nasz syn przypadkiem nie jest chory? — zapytał, a potem sam sobie odpowiedział, ponieważ Ojciec zna odpowiedzi na wszystkie pytania. — On chyba znowu ma coś z gardłem!

Ojciec nabył pana Dwadrzewkę wraz z domem, co wyszło na jaw już pierwszej niedzieli po tym, jak wprowadziliśmy się tutaj całą rodziną, z telewizorem i kotami.

Pan Dwadrzewko zajechał przed dom na rowerze i przez werandę, od strony ogrodu, wszedł do pokoju. W szarym kombinezonie, którego nogawki spięte były klamerkami do bielizny, zasiadł za stołem i, wznosząc ręce niczym bladooki, siwy patriarcha, zagęścił nasz nienadmierny w końcu metraż tłumem poprzednich mieszkańców. Palcem wskazywał niewidzialne dziewczynki w szkolnych fartuszkach, krnąbrnych chłopaków, ich matki pochylone nad garnkami w kuchni, ojców i dziadków. Każdemu nadawał imię, przezwisko lub numer, jak postarzały Adam w Raju, któremu Bóg z litości zostawił skromną domenę Imienia. Dwadrzewko-demiurg uwijał się po domu w roboczym ubraniu, temu lub owemu doczepiając historyjkę, czasem tylko jedno słowo lub gest.

Najdziwniejsze jednak było to, że chociaż z tygodnia na tydzień czuliśmy się coraz bardziej nieswojo, jakby nie u siebie, nikt nie odmawiał panu Dwadrzewce prawa do co-

niedzielných wizyt. Nikomu też nie przyszło do głowy zapytać, którym z kolejnych właścicieli był pan Dwadrzewko.

Nie wiadomo skąd wiedzieliśmy od razu, że pan Dwadrzewko z naszym domem jedynie się przyjaźnił.

— Oto — powiedział pan Dwadrzewko, wskazując palcem telewizor — Aniela Pierwsza. Tutaj się urodziła i tutaj umarła, w dwa tygodnie po swoich pięćdziesiątych urodzinach.

— Jest pan tego pewien? — zapytałem z niedowierzaniem. — To przecież zupełnie niemożliwe, żeby urodzić się i umrzeć w tym samym miejscu! Ja mieszkałem już w pięciu różnych mieszkaniach, chociaż nie mam jeszcze siedmiu lat...

— Zaręczam, że nie tylko urodziła się i umarła w tym samym miejscu, ale również przeszła w nim wszystkie swoje choroby i wszystkie miłosne uniesienia, i urodziła Jana Trzeciego, a to dlatego, że tu, gdzie teraz stoi wasz telewizor, niegdyś stało czeczotowe łóżko jej babki Celiny.

I jakby tego było mało pan Dwadrzewko, nie czekając, zagęścił nasz pokój telewizyjny babką Celiną.

— O, pamiętam ją dobrze! To była wielka patriotka! Zawsze siedziała w fotelu, o tam... I całe życie chodziła w żałobie — pan Dwadrzewko zawiesił głos, czekając na nasze pytanie, lecz my siedzieliśmy w milczeniu, patrząc w kąt pokoju, w którym ukazał się zarys postaci w czarnej sukni.

— Państwo się pewnie ciekawią — westchnął po chwili — czemu ona w żałobie? Ja państwu powiem: po generale Nosku! Właściwie to... nie po całym generale, ale po generała części! Po jednym kawałku generalskim płakała pani Celina przez całe życie!

Matka chrząknęła i zdanie: „Idź się, syneczku, pobawić do swojego pokoju” nawinęła właśnie na palec wskazujący drzwi, kiedy pan Dwadrzewko powstrzymał ją niespodzianie:

— Pani szanowna nie zechce się obawiać, to historia patriotyczna i pouczająca dla młodzieży. A było tak: jeszcze przed pierwszą wojną przemyślała babka Celina przez kordon pruski serce generała Noska...

— Serce? Samo? Wyrwali mu serce? — jęczałem zachwycony. — Babka Celina była czarownikiem voodoo?

— Ależ... ona je tylko chciała narodowi zwrócić i w Ojczyźnie pochować! — rozwiła moje złudzenia Babcia.

— A jak ona je wiozła? — miałem jeszcze odrobinę nadziei.

— W słoju — powiedział pan Dwadrzewko i moja nadzieja rozprysła się na kawałki. — A słój, ukryty w halkach, pod spódnicą, ścisnęła Celina całą drogę z Rapperswilu kolanami, bo Prusacy żadnych bohaterów, nawet w kawałkach, do kraju wpuszczać nie chcieli. I wiecie wy co, państwo szanowni? On nie wytrzymał!

— Kto?! — krzyknęła Babcia.

— Słój! On pękł — ten słój z sercem generalskim — a ostre szkło wbiło się w uda dziewczyny. Och, ona nigdy już nie doszła do siebie po tym wszystkim. Pewnie dlatego, że się to serce na amen gdzieś zawieruszyło. Siedziała potem pani Celina całymi dniami w fotelu, o tu, w kącie, i powtarzała w kółko: „Serce zgubiłam... Zgubiłam...”.

Nie wytrzymała również Matka:

— Mam tego dość. Ciągłe się o nich obijam, wygląda na to, że mamy dwa razy więcej dzieci. Ten mały grubasek, Jan Trzeci, czy jak mu tam, podglądał mnie wczoraj w łazience!

— O, moja droga — zaprotestował Dziadek — on wcale ciebie nie podglądał, to jego pokój został przerobiony na łazienkę.

— Kiedyś ludzie się nie myli? — zapytałem z nadzieją w głosie.

— Kiedyś myto się w pokojach, a wodę w dzbanie przynosiła służąca — Dziadek uśmiechnął się, choć nie wiadomo: do dzbana, do służącej czy do obu naraz.

— A ja już całkiem utraciłam radość oglądania seriali! Wciąż widzę tę kobietę w czeczotowym łóżku... To straszne! — i Babcia się rozplakała.

— Pewnie, że straszne! Całe życie w tym samym łóżku, i może jeszcze z tym samym facetem? Brrr — Teresa była naprawdę oburzona. — Jutro muszę koniecznie przemeblować swój pokój. O, już wiem! — powiedziała radośnie. — Materac położę pod oknem!

I wtedy Matka, nie wiadomo dlaczego, zaczęła krzyzczeć histerycznie:

— Materac?!!! Chciałaś powiedzieć: BARŁÓG!!! CHOLERNY BARŁÓG!!!

Zrobiło się bardzo cicho.

Patrzyliśmy na Matkę zdziwieni, jak na postać z Dwadrzewkowej opowieści, ale ona niespodziewanie miękko zwróciła się do Ojca:

— Pomyślałam sobie, kochanie, że moglibyśmy na stare lata kupić sobie takie... prawdziwe łóżko. I postawić je, o tam... — jej dłoń, niepewnie, rozwinęła się jak wachlarz, wskazując miejsce, gdzie stał telewizor.

Tego było już naprawdę za wiele. Ojciec pękł, jak niegdyś słój z sercem generała Noska, a cała jego wściekłość wylała się na nas.

— Czy wy nie widzicie?! — wrzeszczał. — Czy wy zupełnie nic nie widzicie?!

— Ależ widzimy, widzimy! Wszędzie widzimy! Tylko co właściwie mielibyśmy z tym zrobić? — zapytał rzeczowo Dziadek.

I wtedy, rzecz jasna, Ojciec skupił się na mnie — jak zawsze, kiedy nie wiedział, co powiedzieć:

— Zobaczcie tylko, jak ten chłopiec wygląda! — celował we mnie palcem, jak z pistoletu.

— No jak? — zdziwiła się Babcia.

— Pokaż się, kochanie — Matka zaczęła mnie dokładnie oglądać, zaczynając od szyi.

— On robi się coraz bardziej podobny do tego... Dwadździwki! — powiedział Ojciec grobowym głosem. — Ten nos! Zobaczcie tylko, jakiego on dostał nosa! I jak dziwnie zaczął mówić!

— Jeśli idzie o ścisłość, Henryku, to on mówi z akcentem, jaki przed wojną można było usłyszeć w okolicach Gęsiej. Pamiętam... — Dziadek zamknął oczy, co było niezbitym dowodem na to, że cała jego pamięć zapisana jest na wewnętrznej stronie powiek. — Pamiętam, że kiedy byłem w jego wieku, biegałem tam o zmierzchu, do starego Cwajbauma, po bułki — nazywały się „wieczorówki”! Mmmmm, cóż to były za bułki! Do dziś pamiętam ich smak! A ten zapach!

Ściąga z pamięci przestała być potrzebna, więc Dziadek uniósł powieki, a w jego oczach, po raz pierwszy w życiu, zobaczyłem łzy.

— No pięknie, pięknie! Okazuje się, że nasz rodzony syn jest... — Ojcu stanęło coś w gardle i dokończył szeptem — Żydem!

— Kochanie, nie wolno ci tak mówić! — rozplakała się Matka. — On jest jeszcze taki mały!

— A co do nosa... — Babcia poczłapała do szafy i wyciągnęła z pudełka jakąś fotografię — to bardzo cię przepraszam, mój drogi, ale to jest nos babki Kapczyckiej!

Oglądaliśmy zdjęcie w milczeniu, aż Dziadek powiedział w końcu to, co nam wszystkim utkwiło w gardle, co nie dawało się przełknąć:

— Nos, faktycznie, jak u tego Dwadździwki, ale to jest przecież twoja babka, Henryku, nieprawdaż?

Dziadek popatrzył na Ojca rozbawiony, a potem zanucił: „Ach, wy, Żydowie, Boga męczyli! My nie męczyli, tylko tam byli!”.

Ojciec zbladł, a jego palec wskazujący, palec-donosiciel, palec-Judasza, teraz zamienił się w pałeczkę dobo-sza, bijącą na alarm w blat stołu.

— No dobrze — wycedził. — Jak sobie chcecie. Ale ostrzegam: jak tak dalej pójdzie, to znów będziemy musieli się przeprowadzać!

Seriale przestały Babcie interesować. Siedziała teraz w swoim pokoju i, razem z Anielą Pierwszą, „z tą kobietą od Dwadździwki”, jak pogardliwie mówił Ojciec, całymi godzinami oglądała stare zdjęcia.

— Popatrz tylko — Babcia czułymi palcami dotykała twarzy na fotografiach — ten grubasek z baciakiem i głupią miną to mój ukochany brat, kiedy miał trzy lata. Takim go pamiętam, a przecież jego twarz zmieniała się jeszcze wiele razy, zanim rozdarła ją, jak kartkę papieru, końska podkova... To straszne, że nic innego nie mogę sobie przypomnieć oprócz... tej fotografii! Najbanalniejsza ze wszystkich

pamięci, a jak panoszy się bezwstydnie! Popatrz: mój biedny mały braciszek skazany na bezterminową śmieszność przez fotografa Leonarda ze Złoczowa!

Chciałabym, żeby pamięć miała swoich... posłańców! Anioły zwiastujące radosny czas i miejsca tak odległe, że nic innego nie byłoby w stanie ich przywołać. Anioł Miejsca, Angelus Loci, najpierw długo i starannie nasycalby przestrzenią pióra swoich skrzydeł, skórę i szaty, a potem, przelatując nad naszymi głowami, gubiłby fragmenty miejsc utraconych na zawsze. A my, zatrzymując się, zdziwieni, wciągalibyśmy głęboko powietrze, pytając: „Skąd się tutaj wzięła cukiernia pana Szmady z ulicy Szkolnej?”. Albo: „To przecież strych mojej ciotki Klary i jej szafa pełna sukien przesiąkniętych zapachem potu i perfum Fougère”. O tak! Przestrzenna natura tego anioła mogłaby przyprawić człowieka o zawrót głowy!

Każdego dnia umieram z tęsknoty za domem, tym pierwszym, w którym się urodziłam, z którego wyrzuciono nas w ciągu jednej nocy, który zburzono tak, że nie zostało nic... Ale ty przecież nie możesz o tym wiedzieć: ty urodziłaś się w stołowym i tam umarłaś! Za to ja... Czekam, aż któregoś dnia anioł mojego dziecięcego pokoju otoczy mnie swoimi wonnymi skrzydłami, a wtedy...

Babcia rozplakała się jak małe dziecko. Skulony pod stołem widziałem, że Aniela patrzy na nią ze smutkiem i, wahając się, wyciąga rękę, jakby chciała pogłaskać Babcię po głowie.

A kiedyś moja siostra Teresa wpadła do kuchni, i mrużąc pod nosem „ram-pam-pam-pam-tarira-ram-pam-

pam-pam”, wyginała się i przewracała dziwnie oczami. Matka, jak zwykle podejrzewając infekcję, zapytała:

— Źle się czujesz, moje dziecko?

Ale Teresa nagle odchyliła się, jakby chciała zrobić mostek, no i wywalila się na podłogę.

— Ta para od Dwadrzewki — powiedziała — która mieszka w moim pokoju, ćwiczy to od rana do nocy. Chyba mają stracha, że ktoś wejdzie, tacy są przerażeni. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego? Przecież to całkiem fajne! Muszę pokazać Dziadkowi taką śmieszną figurę, przy której oni zawsze się mylą.

Potem wyrzuciła nogę do przodu, przeskakując niewidzialny rów dzielący naszą kuchnię od przedpokoju.

— A raz... — Teresa z głupią miną zaczęła mrugać oczami — on jej skradł całusa w tańcu! — i mrużąc „ram-pam-pam-pam-tarira”, pocwałowała na piętro.

W niedzielę, jak zwykle, pan Dwadrzewko siedział za stołem i gadał, a my w milczeniu słuchaliśmy.

— Aniela Pierwsza miała brata, Ignacego, który był kucharzem. Tak, tak! Był kucharzem, zawodowym! I śmierci doczekał się pięknej, bo zawodowej! I czy uwierzą mi państwo, jeśli ja powiem, że on umarł na patelni? Nie? A czemu nie? Czemu miałby nie umrzeć na patelni, skoro był kucharzem?

Powiem państwu tak: był pan Ignacy prawdziwym mistrzem kucharskim, jego sobie restauratorzy z rąk wyrywali, jednego wolnego dnia nie miał, kalendarz na dwa lata z góry zatrudnieniem przepelniony: wesela, chrzciny, zjazdy. A co się działo, kiedy jakaś państwowa głowa zapowiedziała swoją wizytę — tego ja wolę nie mówić!

Raz przed taką wizytą sam pan właściciel Sztajn z hotelu Europejskiego przychodzi i błaga: „Mistrzu Drogi, musisz do mnie zaraz przyjść, obiadu doglądać, bo sprawa jest międzynarodowa, wielkie napięcie dyplomatyczne, więc żeby z tego później jakiej wojny nie było!”. A pan Ignacy obłożnie chory w gorączce leży i ruszyć się z łóżka nie może. Więc Sztajn ambulans zamówił, żeby chorego w pościeli przewieźć, a w samym Europejskim, w kuchni, wielką patelnię gazową kazał nagrzać i tam Mistrza w cieple ułożył. No cóż — westchnął pan Dwadrzewko — obiad, można by rzec, bardzo się udał, chociaż podwójnie był dla nas tragiczny: po deserach znaleziono pana Ignacego bez ducha w jego patelni, a wojna... Wojna i bez tego obiadu...

Pan Dwadrzewko posmutniał i zaczął chrząkać — jakby coś utkwilo mu w gardle.

Zawsze lubiłem patrzeć, jak Dziadek mocuje na klamce swój wojskowy pas, jak mocno go napręży, jak pluje potem na niego i posuwistymi ruchami, raz w górę, raz w dół, ostrzy brzytwę. Na parapecie okna czekała już miseczka z wodą, słupek mydła i pędzel z krótkim uchwytem. Stare lustro, zaczepione drucianą nogą na klamce okna, odbijało namydlone policzki Dziadka i już po chwili słyszałem chrząst brzytwy odsłaniającej różową, gładką skórę. Biała piana nagle szarzała od maleńkich włosków, a Dziadek delikatnym ruchem przenosił ją na rozłożoną gazetę.

Siedziałem tak pewnej soboty, patrząc na brzytwę, której nie wolno było mi dotykać. Niecierpliwie czekałem na rozkaz, który miał paść lada chwila: „Adiutancie, na-

mydlić pędzel!”, a potem Dziadek kręcił pędzlem małe kółeczka od jednego ucha do drugiego. Dziewczyna, która teraz mieszkała w jego pokoju — „dziewczyna od Dwadrzewki”, rzecz jasna — czytała list.

„Wróć, ucałuj, jak za dawnych lat...” — zanucił Dziadek i mrugnął w moją stronę. Zrobił ryjek, żeby napiąć skórę, przytrzymał go lewą ręką, a brzytwą, jak gilotyna, opadła na jego bezbronny policzek.

Dziewczyna zgięła się w pół, list wypadł jej z ręki. Brzytwą rozcięła mydlane pole i wtedy zobaczyłem wszystko wyraźnie: widnokrąg wypełnił się wojskiem, jak krwią — mknęli na oślep przez śnieżne zasy, podzieleni na bitewne strugi, by potem, zakolem brody, spłynąć prosto w otchłań otwartych Dziadkowych ust.

Teresa leżała na swoim „cholernym barłogu” i robiła jointa. Obok niej, przy stole, siedział Kazik i z uwagą czyścił rozłożony na części pistolet. Lubiałem patrzeć, jak to robi. Ojciec Kazika był ułanem, jeździł na prawdziwym koniu i miał prawdziwą szablę, a potem zginął w prawdziwej bitwie, tego samego roku, kiedy jesienią nikt nie poszedł do szkoły. Kazik ciągle czyścił swój pistolet w pokoju Teresy, bo też chciał zginąć w prawdziwej bitwie, jak jego ojciec — pan Dwadrzewko zapewniał, że udało mu się spełnić swoje marzenie „w ostatniej dogodnej chwili”.

Teresa, zezując na czubek skręta, zaciągnęła się z namaszczeniem i, nadęta jak żaba, podała jointa Kazikowi. Kazik ujął go w dwa palce i, wydmuchując kłęby dymu, wypalił szybko do końca. Teresa zaczęła dusić się ze śmiechu, chichotała z wydętymi policzkami, bulgocząc całą czerwona, aż w końcu pękła i z jej zaciśniętych ust wy-

płynęła szara chmurka. Teraz moja siostra śmiała się już na cały głos najgłupszym ze swoich śmiechów.

— Jezuuuuu! — wyła Teresa. — Ale was ten Dwa-drzewko zapudłował w swojej pamięci! Czy wy nie macie tego dosyć? Co?!

Kazik milczał zajęty przygotowaniem do swojej bitwy.

— Ja tam nic nie pamiętam! Bo i po co? — ciągnęła Teresa. — Ja żyję na bieżąco! Po każdym dniu spuszcza wodę, jak w kiblu, i całe gówno odpływa nie wiadomo dokąd. Proste?

— Chociaż... — moja siostra zagapiła się na sufit. — Czasami śni mi się... miejsce. To, w którym się urodziłam. W końcu, co jak co, ale miejsce jest ab-so-lut-nie konieczne, żeby się urodzić. Bardziej niż ojciec i matka. Z tego jednego miejsca jesteśmy już na zawsze, nawet jeśli wszystko wokół się zmienia. Może nas lepią z ziemi, na której się rodzimy? Co?

Kazik, przysięgam, spojrzał na moją siostrę z zainteresowaniem.

— To miasto — odpowiedziała sobie Teresa — zbudowane było z dwóch warstw, zupełnie sobie obcych i nieprzyjaznych.

Miasto Pierwsze, zapis powolnego ruchu myśli, zaczynało się w jakimś czworobocznym centrum, choć mógł to być również kolisty plac, wzgórze lub wyspa w rozwidleniu rzeki, skąd ulice wypływają jak ze źródła, tocząc się kręto poprzez mosty, we wszystkie strony świata.

Miasto Drugie powstało nagle, w jednej chwili, nie dłuższej niż parę dziesiątków lat, wykonane niechlujnie i tak anonimowe, jak urzędowe obwieszczenie. Całe kwartały pozbawione były znaków szczególnych, bezgawita-

cyjna przestrzeń nie ciążyła ku żadnemu punktowi, żadne niewidzialne centrum nie przywoływało ulic. Zabłąkani przechodnie, schwytani monotonnym uściskiem między beznadziejnie równoległe ulice, dawali się im prowadzić, aż do nieskończoności. Gdzieś, jak spod warstwy złuszczonej farby, wyzierało Miasto Pierwsze: szyny zamierzchłych linii tramwajowych przecinały chodniki i znikały w fasadach domów, a na śródmiejskich pustkowiach zarośniętych wysoką trawą pojawiały się nieoczekiwane wytworne podjazdy i granitowe krawężniki. Nowe ulice ledwie trzymały się śladów starych, pokrywając dawną fizjonomię miasta stężalym grymasem apoplektyka.

Miasta nie lubiły się, to było jasne, zjadliwie komentowały wzajemne niedoskonałości. Na szczęście... wodociągi zachowały neutralną niewidzialność wobec sporu i, jak tajna policja, dyskretnie obsługiwały zmieniające się reżymy. Pamiętam hydrant na rogu naszej ulicy — stał na baczność w żeliwnej pikelhaubie jak funkcjonariusz podziemnej formacji, którego zapomniano w porę odwołać.

— Byłam starsza od otaczających mnie betonowych domów na osiedlu! Byłam nawet starsza od okolicznych pagórków! — powiedziała z dumą moja starsza siostra. — Mówiliśmy na nie: Monte Klamote.

Pamiętam, jak rosły usypywane z intymnej zawartości opuszczonych mieszkań, z poturbowanej ludzkiej pamięci, która na koniec nadaje się tylko do tego, żeby z niej zrobić wielką górę — w sam raz do zjeżdżania zimą na sankach. Najokazalsze było Wzgórze Generała Noska. Kiedy padał deszcz i zmywał ziemię ze stoków, ukazywały się niebieskie ornamenty „zwiebelmuster”, porcelanowe kapsle od butelek z czerwonym napisem „C. Kipke Braurei. Breslau

1844", obtłuczone korpusy maleńkich laleczek, wytłuszczone szczoteczki do zębów zrobione z kości, szczątki waz i kubków z obcymi napisami: „Lebe glücklich” czy „Zum Geburtstag”. Góra odsłaniała nam znaki, których sensu nie mogliśmy pojąć: dwa skrzyżowane miecze z Meissen, sygnaturę Kaendlera, królewskie berło manufaktury berlińskiej.

— A w naszej kamienicy — przypomniała sobie Teresa — sąsiad Poratycki wył po nocach. Matka mówiła, że on choruje na pamięć — chyba za dużo jej miał w środku, bo głowę ścisnął sobie rękami i wył. Raz spotkałam go na schodach, więc mówię do niego: „Panie Poratycki, kto to widział, żeby tak całą pamięć w głowie trzymać. To nie jest higieniczne! Trzeba ją na śmietnik... Albo może górkę dla dzieci usypać? Co?!”.
Kazik właśnie złożył pistolet, wycelował nim w głowę Teresy i nacisnął spust. Potem sam przystawił sobie lufę do skroni. I śmiali się strasznie głośno.

Chłopak, co zginął dawno temu, i moja siostra.

Ojciec przed snem rozwiązywał krzyżówki, jakby chciał uwięzić wszystko, co wie, w małych kratkach, za nim zapadnie noc i sen odbierze mu rozum.

Matka leżała obok niego, a w nogach wersalki siedział Antoni Piąty, syn Anieli, i kleił modele samolotów.

— Lata w powietrzu, pionowo — powiedział Ojciec.

— Czy ciebie nigdy nie zastanowiło, dlaczego oni tu są? — spytała Matka.

— A kto tu jest? — zdziwił się.

— No jak to kto? Te wszystkie kobiety, dzieci, mężczyźni...

— Aaaa! Oni! Nad czym się tu zastanawiać? Przyjechał ten cholerny Dwadrzewko na swoim przedwojennym rowerze, naopowiadał, naopowiadał, i teraz wszyscy musimy się męczyć! Ot, co!

— Nie, nie! To nie to! W tym musi coś być, ja ci mówię! Mnie się zdaje, Henryku, że tutaj... — Matka wytrzeszczyła oczy przerażona — CZAS SIĘ ZASTAŁ!

A potem zaczęła mówić całkiem jak pan Dwadrzewko:

— Znaczy, nie od razu. Wpierw to on sobie płynął i płynął, powoli, jak strużka lipowego miodu, taki pachnący, prześwieclony słońcem, a oni wszyscy płynęli razem z nim skąpani w życiodajnej strudze: Aniela Pierwsza, i pani Celina, i Jan Trzeci, i nawet ten Dwadrzewko, ja ci mówię, że on też tam płynął razem z nimi! A potem... Tu coś się musiało stać, Henryku! Coś strasznego! Coś niewyobrażalnego, co sprawiło, że ten czas w jednej sekundzie zwarzył się, zgęstniał i zastygł na kamień! A oni... zostali w nim na zawsze, jak owady w kawałku żywicy.

— Owady, powiadasz? — zastanowił się Ojciec. — Nie! Owady nie! Nie pasuje. Za mało liter.

Antoni skończył kleić swój model i puścił go w powietrze. Samolot leciał krótko i spadł na gazetę Ojca, którego olśniło niespodziewanie:

— Samolot! Właśnie!

Wpisał słowo do kratek, a potem przyjrzał się Matce z uwagą.

— Coś mówiłaś, kochanie? Coś się zwarzyło?

Ale Matka siedziała na wersalce, w białej koszuli, jak duch, wpatrzona w nie wiadomo co, mówiła nie swoim głosem:

— Coagulatio Temporis! Coagulatio Temporis, Henryku! Zakrzepły czas! Jakieś wydarzenie, tak straszne, że nie może go unieść nurt czasu... Co to takiego, Henryku, co nie odpłynęło z dniami, co wytrąciło się, jak ciężki osad, którego nie da się już zmyć?

Co to takiego? Co to takiego?

Jeśli mój Ojciec przestał się przejmować dziwnymi lokatorami w naszych pokojach, to chyba dlatego, że miał swojego własnego ducha, w swoim własnym ciecie, a pan Dwadrzewko, tak czy siak, nie miał z tym duchem nic wspólnego.

Ojciec czasami mówił przez sen głosami: jednym zwyczajnym, swoim, chrapliwym, i drugim, co brzmiało łagodnie, jakby chłopięco. Duch miał na imię Henryk, tak samo jak mój Ojciec, i choć był młodszy, Ojciec wyraźnie się go bał.

— Skąd się tu wzięłeś, Henryku?! — pytał przestraszony. — Dwadrzewko... nic o mnie nie wie! To nie przez niego, prawda? Powiedz...

— Jasne, że nie przez Dwadrzewkę! — odpowiadał tamten. — To przez ten dom. Idealne miejsce... A już myślałem, że nigdy się nie spotkamy — bo ty bez przerwy gdzieś się przeprowadzasz. Albo rozwiązujesz krzyżówki. Ale w tym domu będziemy mogli być nareszcie razem... wszyscy! Tak jak dawniej. Pamiętasz?

— Czy... Czy ONI jeszcze tam są? — pytał Ojciec.

— A więc pamiętasz! Wiedziałem, że będziesz pamiętał! Oni też wiedzieli. Ona co sobotę piekła chleb z kminem, żebyś, jak mówiła: „po zapachu trafił”. A on znowuż drzwi noc w noc na rozcież otwierał, że niby pukania mo-

gliby nie usłyszeć. Złodzieje ze dwa razy ich okradli, ale potem dali spokój, bo co Oni tam mogli mieć? Tylko koty przychodziły grzać się do sieni.

— Czy... Oni... — głos Ojca drżał. — Czy jeszcze tam są?

— Prawdę rzekłszy, to... ich tam już całkiem nie ma.

— Nie...ma? — Ojciec zaczynał się dusić.

— Najpierw Stara, ot, w kuczy na zydłu przysnęła i już jej nie dobudzili. A Sary... hm... — duch był zakłopotany.

— No cóż, dziewięćdziesiątka dobiegała, a Pana Boga zachciało mu się poprawiać! Wstyd powiedzieć, ale... powiesił się Sary. Ludzie mówią, że to od twojej niepamięci Sary pomarli. Boś ty o nich ani razu nie wspomniał — ani sobie, ani innym. Jakże tak? — dziwił się młody Henryk. — Poskapiłeś im anegdoty? Tej okruszyny od ust sobie nie odjąłeś, co by im dwojgu za całą wieczność starczyła? Wstydz się, Henryku! Żeby Oni tam owej gęstości istnienia nie zaznali, tego arcy-konturu, jakiego nabiera wszystko, czemu przytrafi się zaszczyt bycia dobrze opowiedzianym?! Żeby nie wpadli w wir fabuły, który jak trąba powietrzna oderwałaby ich od miejsca i czasu, uniósł w górę, by odtąd mogli przenosić się wszędzie wraz z tobą? Żebyś już zawsze z nimi był i nie opuszczał ich ani na chwilę...

— Puść mnie, puść, Henryku! — krzyczał Ojciec.

— Puść mnie, puść, Henryku! — darła się moja Matka. Próbowala obudzić Ojca, siadając na nim okrakiem i potrząsając za ramiona, a on, nieodmiennie, chwycił ją za szyję i dusił.

— O Jezu! — jęczała. — Ledwie żyję! Najadłeś się za dużo smażonego, mówię ci, to od żołądka masz takie sny.

Patrzył ponuro.

— To nie smażone! To... ten dom — odpowiadał i odwracał się na bok, twarzą do ściany.

W każdy czwartek przychodziłem do pokoju Dziadka, żeby pluć na jego oficerki.

Ja plułem z całych sił, a Dziadek wycierał buty miękką szmatką. Dziewczyna, z którą teraz mieszkał, ta „od Dwadrzewki”, zwykle siedziała naga przed lustrem i czesała włosy, więc musiałem stać odwrócony do niej plecami, przynajmniej do czasu, aż nie włożyła szlafroka.

Któregoś czwartku zastałem Dziadka ubranego jak do drogi, w starym wojskowym palcie, w wyglansowanych oficerkach, z walizką przy nodze.

— Nie! Ani słowa! — krzyknął, choć byłem pewien, że wcale mnie nie widzi.

— To już nieodwołalne! To rozkaz! Nie próbujcie mnie zatrzymywać! Postanowiłem wrócić! Właśnie teraz, kiedy śmierć mruga na mnie miłośnicie swoim wielkim okiem z dna każdej filiżanki kawy pitej do śniadania... I kiedy woła: „wejdź we mnie, wejdź, zanurz się w mojej czarnej źrenicy, dam ci rozkosz niepamięci!”. Innej drogi już nie ma... Dlatego was opuszczam, towarzysze wojenni... — Dziadek spojrzał na mnie oczami pełnymi szaleństwa.

— Jeszcze przed świtem muszę zdążyć do Miasta... — zaczął mówić szeptem — MISJĘ arcyważną, arcytajną wypełnić. Misję skupienia na powrót tego, co czas, wojny, a i ja sam tak bezkarnie po świecie rozwłóczył. Trzeba mi teraz samemu po śladach własnych wrócić: Świętojańską ulicą, od Zaułka Garncarskiego, przez

Rynek przejść, i parkową ścieżką raz jeszcze, ostatni, do Zamku się wspiać, w letni wieczór wejść, jak do rzeki tej samej, a potem, w SIEBIE SAMEGO wstąpiwszy, tę jedną jedyną, ukochaną moją objąć, we łzach jej się przejrzeć i powiedzieć: „Oto wróciłem, miła, jakem obiecał”.

Rozejrzałem się po pokoju, ale dziewczyny w nim nie było.

Później pan Dwadrzewko przyjeżdżał także w dni powszednie i wtedy mogliśmy sobie spokojnie porozmawiać. Siadaliśmy przy stole w kuchni, jakaś kobieta miesiła ciasto, a pod stołem dwie małe dziewczynki ubierały w szmatki długą łyżkę do butów i bawiły się nią jak lalką.

— Ta dziewczyna z pokoju Dziadka? — zastanowił się pan Dwadrzewko. — Ach! Elwira, kuzynka Anieli! No cóż, zdaje się, że umarła. Jej mąż zginął, a ona umarła z żalu, chociaż potem się okazało, że on żyje, i to z całkiem nową żoną, tylko zapomniał o tym napisać. Natomiast Jan Trzeci ożenił się z Zuzanną Fartuskówną — tak ją nazywano, bo jej matka miała sklepik ze szkolnymi fartuchami niedaleko stąd. Mieli dwie córki, Justynę i Jankę, ja zaś kolegowałem z ich synem, Antonim Piątym. A trzeba ci wiedzieć, że byliśmy obaj najlepszymi w okolicy... — pan Dwadrzewko uniósł ręce i odgarnął na bok niewidzialną zasłonę zakrywającą magiczne słowa: „zakopywaczami skarbów”.

— Za... zakopywaczami? Skarbów?! — jęknąłem porażony, albowiem nic, co dotąd przeżyłem, nie przygotowało mnie na spotkanie z taką cudownością.

— A tak! — zaśmiał się tryumfująco. — Najpierw wynosiliśmy z domu srebrne sztucce i zegary, zakopywaliśmy to wszystko w ogrodzie, żeby potem, wedle mapy zrobionej na kawałkach starych skór, móc odnaleźć nasz skarb i z drżeniem serca wydobyć go z ziemi. A wiesz ty co? — zastanowił się. — Zdaje mi się, że nasz ostatni skarb ciągle jeszcze gdzieś tam leży w ogrodzie. Nie zdążyliśmy go wykopać zanim... — i pan Dwadrzewko zamilkł nagle, zamyślił się, a potem zaczął chrząkać.

— Jednego ciągle nie rozumiem! — wypaliłem wprost do pana Dwadrzewki. — Ci wszyscy ludzie, o których pan tyle opowiada, to przecież wcale nie byli pańscy krewni, prawda? Więc dlaczego nigdy, ani słowem, nie wspomni pan o swoich rodzicach, o rodzeństwie, jak oni żyli i gdzie są... teraz?

— Sza! Sza! — pan Dwadrzewko położył mi palec na ustach. — Ten dom jest moja najlepsza rodzina! Najlepszy ojciec, najlepsza matka, najlepsi bracia. A ja jestem jak ślepe szczenię — zawsze będzie mnie ciągnąć do zapachu tej kuchni i do tego ciepła na werandzie. Kiedy miałem tyle lat, co ty — tak, to było gdzieś między szóstym i siódmym rokiem życia — przybiegłem tu raz, po zmroku. Strzelali za mną, ale ja dobiegłem i stanąłem tu, gdzie ty teraz stoisz, a domownicy otoczyli mnie, krzycząc z przerażenia. Nie wiedziałem, co się ze mną stanie! I wtedy dom przygarnął mnie, wchłonął, schronił w swoim wnętrzu, ale tak jak jeszcze nigdy nikogo — żyłem w jego ścianach, pod podłogami, w czeluściach jego piwnicznych korzeni, w najtajniejszych splotach dachu. I wiesz co? Słyszałem, jak ten dom żyje, jak szepcze i wzdycha, jak się

złości, jak drży z gniewu, kiedy nadciąga burza, albo jak skrzypi w gorące letnie noce. Mijały miesiące, a może lata, i zaczęło mi się zdawać, że to ja sam jestem domem i że ci wszyscy ludzie mieszkają we mnie...

Nadeszła noc, gdzieś między szóstym i siódmym rokiem mojego życia, kiedy nagle obudziłem się przerażony i zacząłem głośno krzyczeć. Drzwi do mojego pokoju otworzyły się z hukiem, jakby ktoś mocno je kopnął. Do środka wpadli uzbrojeni żołnierze, w mundurach jak z filmu, i zaczęli przeszukiwać pokój. Zaglądali do szafy i pod łóżko, ostukiwali ściany, kopali podłogę, a ja wciąż darłem się ze strachu, kiedy ludzie w mundurach przenikali mnie wzrokiem na wylot. Potem warknęli coś w niezrozumiałym języku i wyszli.

Kraźyli długo po całym domu, byli na strychu i w piwnicy, aż w końcu wszystkie głosy skupiły się w kuchni. Wtedy zrozumiałem.

Zbiegłem na dół, moi rodzice, Babcia, Dziadek i Teresa już tam byli. Na środku kuchni stała Zuzanna Fartuszkówna, do niej tuliły się Justyna i Janka, Antoni Piąty stał obok ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— To na pewno jakaś pomyłka, nikogo obcego tutaj nie ma — powiedziała Zuzanna.

— Kłamiesz! — krzyknął żandarm. — Ukrywacie Żydów!

— Nikogo nie ukrywamy, mieszkam tu sama, tylko... z dziećmi.

— Tak, tak, dzieci... O to właśnie chodzi. Sąsiedzi widzieli, jak przybiegł tu ten chłopak. A to kto? — żandarm wskazał na Antoniego.

— Mój syn, Antoni.

— Podobny. Masz szczęście, że podobny.

Żandarm nachylił się nad Justyną i wyciągnął rękę, jakby prosił ją do tańca. Dziewczynka stała nieruchomo, a on, zniecierpliwiony, wyrwał jej gałgankową lalkę, poma- cał chytrze i jednym ruchem wyszarpnął ze szmat łyżkę do butów. Poczułem ból w żołądku.

Dwaj żołnierze w filmowych mundurach wyprowadzili Zuzannę Fartuszkównę i jej dzieci przez werandę do ogrodu. W ciemnościach nie było ich widać, słyszeliśmy tylko pojedyncze wystrzały, jeden, drugi, trzeci, czwarty... I potem jeszcze jeden.

Po tamtej nocy w naszym domu wszystko wywróciło się do góry nogami: Babcia umarła, Teresa wyszła za mąż i wyjechała do Ameryki. Jest bardzo zadowolona. Bez przerwy gdzieś się przeprowadza i za każdym razem musi kupować nowe meble. „Tu jest zakaz starzenia się” — pi- sze Teresa i na dowód przysyła nam swoje zdjęcia, na któ- rych wygląda jak mała dziewczynka w śmiesznym kolo- rowym kapeluszu.

Dziadkowi zupełnie pomieszało się w głowie, więc ro- dzice oddali go do domu starców. Siedzi tam przez cały czas na krześle, ubrany jak do drogi, z walizką na kola- nach. Powtarza, że musi wrócić, ale chyba nie do nas, bo nas już wcale nie widzi, jakbyśmy nagle stali się zupełnie niewidzialni.

A potem Ojciec sprzedał dom.

— Wyprowadzamy się, panie Dwadrzewko! — po- wiedziałem, kiedy, jak zwykle, przyjechał na rowerze w

bladoniebieskim kombinezonie i przez werandę wszedł do kuchni. — Proszę zachować nas w swojej pamięci.

— Ja myślę, że ten dom najlepiej zachowa nas wszyst- kich — odpowiedział. — Tutaj dla każdego znajdzie się miejsce.

— Dla Teresy także? Chociaż jej na tym nie zależy?

— O tak! Dla Teresy także.

— I dla tych ludzi, którzy tu przyszli w nocy?

— Nawet dla nich.

— Panie Dwadrzewko — spytałem — czy ludzie są du- szą domów?

— Tego to ja nie wiem. Chociaż... — zastanowił się — powiem ci w sekrecie, że moja własna dusza jest... jakby to powiedzieć? Ona jest... miejscem! Niczym więcej. Taki mnie spotkał los.

— Ten dom jest pańską duszą?

— Można tak powiedzieć.

— Chciałbym pana jeszcze o coś prosić, panie Dwa- drzewko.

— Słucham cię, chłopcze.

— Kiedy... będzie pan opowiadał o naszym życiu no- wym właścicielom, to niech pan im powie, że ten chłopiec w pokoju na piętrze, no wie pan, ten który krzyczy ze stra- chu, że będzie sam... To wcale nie jestem ja! Bo mnie już nic nie uwiera w gardle! Niech sobie umierają... wszyscy... kiedy chcą!

Ale to nie była prawda. Łyżka do butów nie zniknęła z mojego żołądka. Może tylko rzadziej mnie uwierała albo przestałem zwracać na nią uwagę. Możliwe, że ją polu- biłem. W świecie podróży, rozstań, przeprowadzek i śmierci była czymś stałym i nieusuwalnym. Po latach

uznałem, że jest mną o wiele bardziej niż moje zmieniające się ciało. Być może jest moją duszą wsuniętą mi przez Boga, nie nazbyt delikatnie, gdzieś między szóstym i siódmym rokiem mojego życia.

enie jest nawykiem rąk

Spotkałem raz garncarza dotkniętego perseweracją: powtarzał miękkie, bezkształtne dźwięki, w kółko i w kółko, aż do znudzenia. Rozmowa, wirując, wracała do punktu wyjścia (i trzeba było bardzo uważać, żeby nie dostać mdłości), lecz za każdym kolejnym obrotem garncarz wyciskał z dźwięków nadmiar materii, odkładał ją na bok, a resztę wyokrąglął, gładził, cieńczył, aż stała się słowami niewidzialnymi dla oka.

Na pożegnanie wytarł ręce i wręczył mi kolisty poemat, całkiem zgrabny, lecz brzmiący cokolwiek głucho, jak gliniany dzban.

Wsluchiwałem się także w gadulstwo kucharek: jak, nie mrugnawszy nawet powieką, zrywają nożem powłokę z przedmiotu rozmowy i, śmiejąc się, tną jego nagi, krwawiący miąższ na kawałki, by potem, w wielkim garze, pod przykryciem, długo ustalać zawieszisty konsensus.

Motorniczowie zaś ślizgają się po zdaniach nieznosnie wizgliwą frazą, to przyspieszając zawadiacko, to zwalniając (choć zawsze jednym ustalonym torem), a potem nagle milkną, jakby coś sobie przypomnieli, i z syczącym westchnieniem otwierają usta dla nabrania powietrza.